

Moje wspomnienia z trzeciej klatki schodowej kamienicy SHL przy ul. Paderewskiego 7

W 1946 r., wiosną moi rodzice otrzymali mieszkanie w kamienicy zakupionej w 1937 r. przez dyrekcję fabryki SHL w Kielcach. Dom ten był wybudowany w 1935 r. i był bardzo nowoczesny z eleganckimi mieszkaniami przeznaczonymi dla kadry kierowniczej dyrekcji huty.

W pierwszych dniach września 1939 r. – po wybuchu II wojny światowej Niemcy w nalocie na Kielce trafili w ten dom niewielką bombą, która częściowo zburzyła trzecią klatkę schodową. Okupanci po zajęciu miasta zmusili do odbudowy tej części kamienicy - polskich jeńców i więźniów. Następnie dom ten gestapo przejęło na swoją siedzibę. Stan ten utrzymywał się do zakończenia wojny w Kielcach – w dniu 16.01.1945 r.

SHL – po remoncie kamienicy dysponowała około 1/3 mieszkań. Najlepsze lokale z I i II klatki schodowej – władze miasta przekazały dla potrzeb rodzin z Urzędu Bezpieczeństwa, wojskowych itp.

IV piętro stanowił ogromny strych, gdzie były jeszcze zgromadzone wielkie ilości desek i wisiały sznury do suszenia prania. Na strych wchodziło się tylko ze środkowej II klatki schodowej. Pierwsza klatka od ulicy Równej i III klatka posiadały mieszkania do III piętra. Mnie i moją rodzinę mieszkanie to przeniosło w inny świat – centrum miasta Kielc.

Od 1934 r. mieszkałam kolejno w wynajętych domkach, które były własnością niezamożnych kolejarzy, w ubogiej dzielnicy Herby.

Mieszkania te nie miały kanalizacji, dostępu do pitnej wody, łazienek, WC. Były ogrzewane piecami węglowymi. Większość domków zimą miała okna od wewnątrz pokryte warstwą lodu. Jedynym plusem tych siedzib były liczne dzieci na podwórkach, oraz niewielkie ogródki, gdzie właściciele usiłowali hodować jakieś jarzyny, na ciągle podmokłej, gliniastej ziemi.

Nie było płyt chodnikowych, rowami wzdłuż jezdni płynęły ścieki, gdzie również wylewano domowe nieczystości. Najczęściej woda studzienna nie nadawała się do spożycia, ale i tak trzeba było ją kupować z nielicznych studni i nosić w wiaderkach do domów. Udręką było przygotowanie prania, a przecież mężczyźni najczęściej pracowali w warunkach zbliżonych do tych z kopalni węgla! Wymagało to codziennego zdobywania wody do mycia (w baliach lub wanienkach) i ciągłego prania, nie mówiąc o celach spożywczych.

Kiedy zamieszkaliśmy przy ul. Marszałka Focha byłam uczennicą I klasy Gimnazjum i Liceum żeńskiego im. Bł. Kingi przy ul. Leśnej. Na drugim piętrze III klatki schodowej kamienicy SHL w pierwszych latach powojennych przeżyłam wiele nietuzinkowych zdarzeń, między innymi:

1. Napad rabunkowy z bronią palną na moją rodzinę, oraz złapanie przeze mnie bandyty z dobytkiem (maj lub czerwiec 1946 r.)!

2. Pożar strychu nad moją klatką schodową – lipiec 1946.

3. Zniknięcie z domu na 2 lub 3 tygodnie mojego Taty zabranego z naszego mieszkania przez dwóch „panów”.

4. Znalezienie na klatce schodowej dziecka.

5. Poznanie wielu wartościowych ludzi o trudnych kolejach losu – pracujących na pierwszym piętrze III klatki, w tymczasowej siedzibie Zjednoczenia Przemysłu Wyrobów z Blachy.

Reszta, to jest kilkadziesiąt lat mojego życia to banalne losy rodzin w zniszczonym, wyludnionym mieście, zmieniających się warunkach społecznych i politycznych – z niepewną przyszłością w trakcie tak zwanej drogi do demokracji ludowej, a potem „drogi do socjalizmu”.

Centrum Kielc, jak i stare, pozostałe dzielnice w 1946 roku były wyludnione. Niemcy wymordowali ludność żydowską, wywieźli wielu mieszkańców z miasta do obozów śmierci lub do obozów pracy. Wielu kielczan trafiło do podobnych obozów stalinowskich.

Po wyzwoleniu miasta zaczął się odpływ tymczasowych mieszkańców miasta, którzy uciekli tutaj z terenów poznańskiego, Śląska czy Wybrzeża – włączonych przez Niemców do Rzeszy.

Pod koniec wojny, po upadku powstania warszawskiego, zamieszkało w Kielcach wiele rodzin warszawskich. Po wojnie kieleckie biedne rodziny emigrowały na tak zwane ziemie odzyskane, by poprawić swój byt – zamieszkały w domach i gospodarstwach opuszczonych przez Niemców.

Miasto nie miało łączności telefonicznej – poza nielicznymi telefonami („na korbkę”) w milicji, jednostkach wojskowych i na kolei. Nie było odbiorników radiowych, dopiero raczkowała powojenna prasa. Na ulicy Focha spotykało się bardzo rzadko nieliczne wojskowe samochody, cywilnych nie miał nikt. Transport i przeprowadzki na terenie miasta odbywały się konnymi wozami lub nielicznymi dorożkami.

Pojedyncze sklepy spożywcze i piekarnie musiały wyżywić mieszkańców, których również zaopatrywały okoliczne, biedne wsie. Kobiety często w zapaskach wędrowały (często pieszo i boso) by w mieście sprzedać mleko, ser, kilka jajek lub grzyby. Jednak wśród ludzi, niezależnie od ich wykształcenia i poziomu biedy – panowała wiara w odbudowę miasta i kraju. I wiara, że po tak tragicznej wojnie oni i ich dzieci poprawią swój byt. Robotniczo-kolejarskie biedne Kielce starały się o ponowne uruchomienie szkół, placówek kultury, odbudowę zakładów pracy.

Pokolenie moich rodziców po zakończeniu wojny często pracowało bez wynagrodzenia lub w zamian dostawało się ekwiwalent tegoż – w postaci ubrań, paczek żywności, łóżek polowych z demobilu wojskowego. Były to dary amerykańskie tzw. z „Unry”. Z wielkim rozmachem organizowano kursy dla analfabetów, szkolenia z zakresu administracji biurowej w tym nauki pisania na maszynie, stenografii. W pałacu biskupów powojennej siedzibie władz wojewódzkich odbywały się bezpłatne wykłady na różne tematy (jeszcze nie propagandowe) z różnych dziedzin życia.

Moje gimnazjum w 1945 r. kontynuowało tradycje tejże przedwojennej szkoły. Co niedzielę na zbiórce przed budynkiem szkoły przy ul. Leśnej – stawały się wszystkie uczennice w mundurkach szkolnych: białe bluzki, granatowe, plisowane spódnice, berety i tarcze z numerem szkoły. Z poczem sztandarowym szkoły maszerowałyśmy czwórkami do kościoła Św. Trójcy na mszę przeznaczoną dla tego gimnazjum. Do katedry wędrowały męskie gimnazja im. Jana Śniadeckiego, Żeromskiego czy „Handlówka”. Oczywiście maszerowałyśmy po tak zwanych kocich łbach (nie było asfaltu) – z udziałem kadry pedagogicznej. Każdy dzień w szkole zaczynał się apelem wszystkich klas, wspólną modlitwą do Bł. Kingi, potem były komunikaty dyrekcji dla uczniów. Języki obowiązkowe to: do wyboru francuski, lub angielski i 6 lat łaciny. Nie było obowiązku (ani możliwości) nauki języków naszych granicznych sąsiadów – rosyjskiego i niemieckiego. Lekcje religii były do matury.

Po wojnie mieszkańcy mojego miasta jak i kraju dowiadywali się bardzo powoli o traktatach w Jałcie i Poczdamie, naszych niepewnych losach i przyszłej orientacji politycznej. Niestety zmieniło się to na gorsze z biegiem lat powojennych. Władze terenowe i centralne z oferty „dążeń narodu do demokracji ludowej” zmieniły ten kierunek na „dążenie do socjalizmu”. Resztę znamy z niełatwej historii naszego narodu i miasta.

Na marginesie powyższych opisów, po wielu latach życia i doświadczeń, przebywając w kręgu ludzi ciężkiej pracy – nadal dziwię się, że zarówno w latach mojego wczesnego dzieciństwa, wojennych i powojennych istniał zwyczaj nie zamykania domów na wsiach i symbolicznego zamykania mieszkań miejskich. Zostawiano klucze od mieszkań pod wycieraczką, w sieni lub na klatce schodowej! Może na ten stopień zaufania do współziomków i obcych wpływała prawdziwa głęboka

wiara religijna, powszechne ubóstwo i tradycje. W wędrówkach z Tatą po wsiach – na ryby – wchodziliśmy (i inni też) – do mieszkań obcych ludzi, by zostawić część wędek czy odzieży. Właściciele domu byli wówczas w pracy – na odległych polach. Po powrocie do domu częstowali nas mlekiem, chlebem (o ile go mieli), zalewajką. Nie było nagminnych kradzieży, także często podkreślanego w literaturze pijaństwa. Język – często w lokalnym brzmieniu był wolny od wulgaryzmów. Zmieniła się epoka i dawne obyczaje nie pasują do niej.

Z tym opisem nie mają nic wspólnego czasy powojennego tak zwanego „szabru” poniemieckiego na ziemiach odzyskanych. Ludzie „przedsiębiorczy” organizowali w różny sposób – wyjazdy, by grabić pozostawione mienie i tym handlowali. Sądzę, że traktowali to jako odwet za okupację, częściowo jako chęć poprawy swojej materialnej sytuacji – uważając, że za 6 lat cierpień, nędzy, zagrożenia życia – to się im należy jako rekompensata powojenna.

Handel tymi „zdobycami” ratował również mieszkańców naszego miasta. Można było tylko tak kupić radio (Mama takie radio kupiła na targu na placu bazarowym), kupić odzież, pościel, sprzęty kuchenne. Ogromna większość rodaków uważała szaber za naganny, ale raczej nie za kradzież.

Każda wojna niesie za sobą heroizm, bohaterstwo, chęć pomocy, ale również zdradę, cierpienie, donosicielstwo. Jako lekarz znający (pobieżnie) dzieje ludzkości, wojen, i zbrodni a także tą jasną stroną konfliktów – uważam, że ta mieszanka dobra i zła w człowieku tkwi w naszych genach przekazywana kolejnym pokoleniom. Potwierdza to Stary Testament w opisie zachowań w raju Adama i Ewy, oraz dzieje ludzkości. Smutne to, ale tak było, jest i zapewne nadal będzie, ale zawsze trzeba mieć nadzieję że kiedyś zwycięży samo dobro!

P.S. Kielce w 1945 r. liczyły około 25-30.000 mieszkańców.

Napad z bronią na nasze mieszkanie

W maju lub na początku czerwca 1946 r. miałam 13 lat i uczęszczałam do 1-ej klasy gimnazjum. Obydwoje rodzice chodzili do pracy na godz. 7.00 do Huty SHL.

Kilka dni przed opisanym zajściem moja Mama poszła do dzielnicy Herby, by umówić się z praczką bielizny. Była to bardzo biedna kobieta, która utrzymywała się tylko z prania. Mieszkała w malutkiej izbie jednego z domków – obok którego my mieszkaliśmy przed przeprowadzką na ul. Focha. Jak wspomniałam pranie w tym czasie – ręczne, z koniecznością noszenia wody ze studni, gotowania pościeli w wielkich kotłach – było bardzo ciężką pracą. Nawet kobiety z niezamożnych rodzin musiały mieć kogoś do pomocy. Mama umówiła się z praczką na określony dzień, wytłumaczyła jej, że ja idę do szkół na godz. ósmą i będę w szkole do piętnastej, więc ona powinna być na Focha przed godz. ósmą. Bieliznę, kocioł na pościel, balię, tarę i środki piorące Mama przygotowała na dzień poprzedzający pranie.

W dniu prania w mojej szkole nastąpiła jakaś awaria i wypuścili nas do domu po trzech godzinach lekcji. Kiedy wróciłam do domu i weszłam do przedpokoju (drzwi jak zwykle były otwarte) zobaczyłam, że w kuchni stoi balia i wszystko jest przygotowane do prania, ale nie ma praczki. Po otwarciu drzwi do pokoju zobaczyłam prawie pustą trzydrzwiową, otwartą szafę, zdarty ze stołu obrus, jakąś kotłowaninę pościeli na dużym dębowym łóżku.

Praczkę nie widziałam, więc zaczęłam ją wołać po imieniu. Nagle doszły do mnie jakieś jęki z łóżka. Dopadłam do niego i po odkryciu kołdry i poduszek zobaczyłam zakneblowaną, na wpół uduszoną praczkę, mocno przywiązaną do sprężyn łóżka, głową w dół. Po uwolnieniu – przerażona kobieta wyjęczała, że napadło ją dwóch bandytów, z których jeden przystawił jej rewolwer do głowy, a drugi stał za drzwiami na klatce schodowej. Ten za drzwiami powiedział, że praczka go dobrze zna, więc, ty wynoś mi toboły na klatkę schodową, a potem „ją załatw”.

W tym czasie na drugim piętrze mieszkaliśmy tylko my, na parterze, pierwszym i trzecim piętrze były puste mieszkania. Błyskawicznie rzuciłam się do drzwi, aby dotrzeć do budynku milicji. Mieścił się przy ul. Sienkiewicza – tuż za bankiem. Wpadłam tam przerażona relacjonując zastaną sytuację. Jeden z kilku milicjantów zapytał: gdzie szukać rodziców? Po czym zlecił jednemu z nich (po cywilnemu) aby poszedł ze mną na miejsce napadu. Kiedy wyszliśmy z bramy na ul. Sienkiewicza nagle zobaczyłam wolno jadącą dorożkę z odkrytą budą, a na siedzeniu mężczyznę w ojca marynarce, z dubeltówką taty złożoną do strzału. Drugą ręką podtrzymywał tobół owinięty pasiakiem w charakterystyczne, żółto-niebieskie pasy. Mama kupiła go na bazarach od szabrownika. Rzuciłam się do dorożki krzycząc „złodziej”. Za mną pobiegł towarzyszący mi milicjant i złapaliśmy złodzieja. Milicjant krzyknął do nielicznych przechodniów by zawołali do pomocy innych milicjantów. Dorożka z naszymi rzeczami i złodziejem pod eskortą trafiła na milicję. Kiedy rodzice z huty SHL dotarli do komisariatu już było po akcji. W domu została tylko mokra pościel w kotle! Praczka i ja opowiedziałyśmy jeszcze raz o tym napadzie.

Następnie przesłuchano z udziałem mojego taty – złodzieja i dorożkarza. Ustalono, że organizator napadu znał dokładnie mój rozkład lekcji, godziny pracy rodziców i wiedział, że napad będzie udany! Tymczasem dwie okoliczności zadecydowały o zaistniałej sytuacji: przedwczesne zwolnienie mnie ze szkoły i fakt, że pociąg do Radomia opróżnił się o 1 lub 2 godziny.

Kiedy bandyci dojechali do dworca wcześniej wynajętą dorożką – by łupy przewieźć pociągiem – nie było tego pociągu. Żeby nie budzić podejrzeń na dworcu kazali dorożkarzowi bardzo wolno jechać w górę Sienkiewicza, by wypełnić czas do odjazdu pociągu. I to był moment, kiedy nadjechali akurat na nas tj. mnie i milicjanta. Dodatkowo z daleka rzucał się w oczy jaskrawy pasiak, którym było okręcone duże radio (też kupione przez rodziców na targu). Ojciec mój był wzywany na przesłuchania, na których on i praczka potwierdzali fakt, iż organizator napadu znał wcześniej praczkę, moich rodziców i był umówiony z dorożkarzem na określony czas pod domem.

Po dość krótkim czasie milicja powiadomiła tatę, że złapany sprawca (jeden!) został ukarany. Znacznie później tato dowiedział się, że złapany w dorożce bandzior pochodził z Radomia lub okolicy; tam mieli przewieźć łupy. Nigdy milicja ani słowem nie wspomniała o faktycznym organizatorze napadu. Po wielu latach ojciec dowiedział się, że obaj sprawcy byli pracownikami Urzędu Bezpieczeństwa. Oskarżony bandzior został namówiony do napadu. Dostał wyrok 4 lata za zbrojny napad bandycki (broń była autentyczna). Odsiedział cały wyrok – gdzie nie wiemy. Drugi (organizator) i jego rodzina – nie żyją) nadal pracował w UB.

Dzisiaj po raz pierwszy opowiadam tą historię, ponieważ zarówno organizator napadu jak i jego rodzina – nie żyją. Rodzice uważali, że jego rodzina nie może odpowiadać za ten bandytyzm i być napiętnowana przez otoczenie w tak małym mieście jak Kielce. Poza tym uważaliśmy, że bandzior nie grzeszył rozumem spodziewając się wielkich łupów w domu moich rodziców – którzy wszystko wysprzedali z domu za żywność, by przeżyć wojnę. Dodatkowo ja i mama miałyśmy w roku 1940 lub 1941 r. bardzo ciężki tyfus, a okupacja była pasmem nędzy.

Pożar budynku SHL

Po wyzwoleniu Kielc w 1945 r. ul. Focha i okoliczne uliczki były opustoszałe lub zajęte przez pracowników UB i ich rodziny. Okolica kamienicy SHL miała dodatkowo atrakcję w postaci więzienia w piwnicach domu dr Kalinowskiego (zginął w Katyniu). W piwnicach kamienic Nr 4-6-10 torturowano „wrogów ludu”. Często nocą podjeżdżały pod te kamienice ciężarówki i słychać było łomot wrzucanych do nich więźniów; nie wiem czy wszystkich zabitych, czy część jeszcze żyła. Budynków tych pilnowali strażnicy z bronią gotową do strzału. Zabroniono chodzić po parzystej stronie tej ulicy. Na Focha w tym czasie nie było ani jednego sklepu. Pozostali jeszcze w tej okolicy dawni mieszkańcy starali się unikać tej części miasta.

W 1946 r. w niecały miesiąc od napadu – nocą ktoś pod moją klatką coś wykrzykiwał. Było to dziwne, bo nie było możliwe by tam zawieruszył się pijany osobnik. Mama przez otwarte okno zapytała co on krzyczy? Usłyszała: „pali się wasz dom, uciekajcie!”. Usłyszał to również wartownik z przeciwnej strony ulicy i wystrzelił z pistoletu, by wezwać posiłki. Był skuteczny! Nadjechała straż pożarna, kazano nam natychmiast wyjść z domu i rozpoczęto akcję gaśniczą. Staliśmy naprzeciw w nocnej bieliźnie, bosy i patrzyliśmy jak płonie dach. Nagle mojego tatę olśniło, że w mieszkaniu jest proch strzelniczy i myśliwskie naboje, które trzeba natychmiast wynieść. Opornego strażaka tato przekonał, że musi wejść po te rzeczy bo proch wysadzi w powietrze cały budynek. Zresztą w I klatce też mieszkali myśliwi – co by wzmocniło efekty pirotechniczne. Pożar ugaszono, a nam zostało osuszenie mieszkania.

Pożar wywołała osoba wieszająca pranie – od jej świeczki zapaliły się sznury do bielizny.

Zniknięcie mojego taty na 2-3 tygodnie w 1948 r.

Jak pisałam tato (wraz ze mną) uprawiał wędkarstwo i myślistwo. Wtedy nie było wolnych sobót, niewiele świąt, samemu trzeba było kopać robaki i produkować przynętę. Któregoś popołudnia tato robił w kuchni przegląd sprzętu wędkarskiego szykując się na niedzielę na ryby. My z mamą siedziałyśmy w pokoju, żeby nie przeszkadzać. Nagle do przedpokoju weszło dwóch panów w skórzanych płaszczach weszli do pokoju i zapytali mamę, gdzie jest mąż? Mama wyjaśniła, że w kuchni (drzwi od kuchni były zamknięte). Na pytanie mamy o co chodzi – któryś machnął jakąś legitymacją i kazał mamie zawołać tatusia „a ty mała idź do kuchni”. Następnie kazali ubrać się tatusiowi. Na pytanie ojca co może ze sobą zabrać jeden z nich odrzekł „nic, tylko dokumenty” i dowcipnie dodał (!) „no może szczoteczkę do zębów”. Kiedy z tatą wychodzili, przerażona mama zapytała: „co będzie z moim mężem?” nie odpowiedzieli, ale jednego chyba ruszyło sumienie i powiedział „mąż wróci”. Niczego więcej mama się nie dowiedziała!

Po 2 lub 3 tygodniach, które były koszmarem, tato wrócił cały i zdrowy, ale zabroniono mu mówić gdzie był i dlaczego. Mamie opowiedział. Mnie również, ale znacznie później, abym jako dziecko nie wygadała się.

Porwanie taty wiązało się z faktem, że po różnych kursach BHP i własnej wieloletniej pracy na niebezpiecznych stanowiskach posiadał dużą wiedzę z zakresu BHP. Do tego od 1945 r. wraz z dyrektorami i inżynierami fabryki jeździli na Pomorze (Szczecin, Darłowo, Goleniów, Gdańsk, Gdynia, Malbork itd.) dokonywać oceny przydatności dla SHL ocalałych maszyn w ponemieckich zakładach przemysłowych lub powoływać kierowników tych zakładów – ratując je przed dalszą grabieżą. Część tych maszyn trafiła do fabryki SHL, ale one jak i zdemolowane urządzenia kieleckiej fabryki należało dostosowywać do produkcji, dorabiać brakujące części i zabezpieczać pracowników przed zagrożeniem życia.

Z tego okresu mam w domu ponad 30 dyplomów, patentów i uprawnień dokonanych przez tatę w tej dziedzinie. Okazało się, że bez wyższego wykształcenia technicznego – ojciec mój miał wrodzone i nabyte umiejętności techniczne. Był jednym z trzech najlepszych behapowców w zrzuconym kraju.

Jak wiadomo w całej Polsce, a nawet bloku socjalistycznym – w Pionkach produkowane były „wyłącznie” płyty gramofonowe! Któregoś dnia jedna z hal fabrycznych wyleciała w powietrze. W tym czasie rządzący Polską byli przekonani, że za każdym zaułkiem i krzakiem czają się amerykańscy szpiegowie. Widocznie oni nie lubili nagrań na płytach i wysadzili w powietrze halę produkcyjną w Pionkach.

W tej sytuacji władze musiały ustalić winnych tego wybuchu. Również dyrekcji „Pronitu” zależało, aby to nie był sabotaż wrogich szpiegów ani też zaniedbania ochrony fabryki. Tak czy siak – dyrekcji „Pronitu” też groziło co najmniej więzienie. Materiały wybuchowe były faktycznie.

Po własnym śledztwie (z udziałem UB) bez rezultatu – wezwano z Polski trzech najlepszych behapowców i wyjaśniono im dobitnie, że mają szukać po 1 cm(!) i ustalić przyczynę wybuchu. Wtedy wrócą do domów. Oczywiście było to obwarowane tajemnicą państwową i aż po najcięższy wymiar kary jeśli będą nieskuteczni. Historia zakończyła się pomyślnie. Zapoznano ich szczegółowo z technologią produkcji, wyposażeniem hal produkcyjnych, przechowywaniem materiałów do produkcji – „sprzętu fonograficznego”! Zostali zakwaterowani w zakładzie, otoczeni w dzień i w nocy troskliwą opieką. I tak krok po kroku badali zaistniały wybuch. W efekcie wszyscy trzej ustalili, że na rurach przewodzących skroplony eter nastąpił minimalny przeciek. Dziurkę zalutowano jakimś stopem, gdzie w określonej temperaturze powstał prąd indukcyjny i on wywalił w powietrze zakład. Nie było działań wrogich Polsce.

Behapowcy wyjaśnienie wybuchu w protokołach udokumentowali bardzo drobiazgowo. Ich efekty pracy przyjęto i zaakceptowano jako wiarygodne. Zapewne to uratowało życie nie tylko dyrekcji „Pronitu”, ale i wielu ludziom na których można było zwalić wrogie działania. Pronit nadal produkował „płyty gramofonowe”!

Mój ojciec, jako behapowiec, za ten udział był ceniony przez Ministra Przemysłu – to dawało mu przychyłność w zdobywaniu technicznych urządzeń i sprzętu dla fabryki SHL. Po latach szczegółowo opowiedział mi o warunkach pracy w „Pronicie” zwłaszcza kobiet, które wyłącznie były zatrudnione do specjalnych zadań. Dla mnie to była i jest nadal fascynująca opowieść, przypominająca bardziej horror niż pracę w fabryce.

Wspólne dziecko III klatki schodowej

Dom SHL jako solidnie zbudowana w roku 1935 kamienica posiada grube mury i bardzo szerokie parapety okienne. W latach 1956-1958 trzecia klatka schodowa była miejscem gdzie kobiety z okolicznych wsi, często pozostawiały na parapecie puste (lub pełne) koszyki, by nie obciążone nimi mogły „na murku” sprzedawać ser, jaja, itp. Jak wspomniałam ulica była bardzo bezpieczna i nie zdarzały się kradzieże tego mienia, z uwagi na bliskie sąsiedztwo organów ścigania.

Któregoś letniego dnia do domu wracała p. Cybuchowa z trzeciego piętra, a za nią mój tata. Sąsiadka przyzwyczajona do przechowania na parapecie minęła leżący tam tobołek, a mój tato – z duszą myśliwego spojrzął na parapet i zawołał „sąsiadko – mamy dziecko”. W beciku, owinięte koczykiem leżało niemowlę. Pani Cybuchowa zabrała dziecko do domu, oboje zawiadomili o znalezisku milicję. Dziewczynka była w wieku pierwszego kwartału życia, czysta, z pieluszką, w beciku. Milicja odwiozła dziecko do Domu Dziecka. Potem do domu przychodziła milicjantka – by sporządzić szczegółowy raport i z zeznań znalazców, opisać stan dziecka, oraz czy było zagrożenie życia niemowlęcia. Milicjantka prowadząca ta sprawę od czasu do czasu przychodziła do nas – mając nadzieję, że nieznaną matką podrzutka ogarnięta wyrzutami sumienia zjawi się celem odnalezienia córeczki. Ojciec uważał, że nie ma na to szans, by odnaleźć matkę, ale milicjantka odrzekła: „znajdziemy ją”.

Po 2 lub 3 miesiącach to dziecko z gronkowcowym ropniem płuc trafiło do szpitalika na oddział gdzie pracowałam. Dziewczynka była ładna, drobna z czarnymi włoskami. Niestety szybko zmarła. Gronkowce wtedy były bardzo zjadliwymi bakteriami, antybiotyków nie było. Ropnie płuc pękały, dzieci umierały.

Finał tej sprawy był zaskakujący. Milicjantka zimą przyszła do nas i opowiedziała jak odnaleziono matkę. Na rogu ul. Bodzentyńskiej i Kościuszki była tania jadłodajnia. Któregoś dnia milicjantka ubrana po cywilnemu siedząc przy stoliku usłyszała rozmowę dwóch spożywających obiad kierowców. Obaj narzekali na niskie zarobki i niewielkie dochody z podwożenia ciężarówkami tzw. „łebków”. Jeden z nich powiedział, że tylko raz dostał latem bardzo dużo forsy. Na trasie Busko –

Kielce młoda kobieta z niemowlęciem prosiła go, aby po drodze zawiózł ja do specjalistycznej przychodni w Kielcach przy ul. Focha (Buczka). Nigdy nie dostał tyle pieniędzy za „łebka”.

Milicjantka skojarzyła te fakty, dosiadła się do kierowców i ustaliła ewentualne zamieszkanie pasażerki. Okazało się, że dziecko było nieślubne, a jego ojciec mając żonę i wspólne dzieci stanowczo sprzeciwił się nagłośnieniu tej sytuacji, tym bardziej że był znaczącą osobą w miejscu zamieszkania. Matka córeczki widocznie nie była psychicznie zdolna do samodzielnego macierzyństwa, więc podrzuciła dziecko na naszą III klatkę schodową. Sprawa sądowa odbyła się już po śmierci niemowlęcia. Sąd znając tyle okoliczności łagodzących ukarał matkę tylko symbolicznie karą kilkumiesięczną w zawieszeniu.

Zjednoczenie przemysłu wyrobów z blachy

W latach 1946-1948 (lub dłużej) na I piętrze klatki schodowej mieściło się biuro wyżej wymienionego Zjednoczenia. Warszawa była kompletnie zburzona, więc różne centralne instytucje mieściły się w różnych miastach, najwięcej w Łodzi.

Kielecka SHL przed wojną była w kraju liczącą się fabryką. Po wojnie nadal miała przedwojenną kadrę świetnych fachowców. Dlatego też Ministerstwo przeniosło właśnie tutaj biura tego Zjednoczenia. Kadra inżynierska wraz z robotnikami, fachowcami jeździli na Pomorze do pozostałości niemieckich zakładów przemysłowych aby tam uruchomić produkcję, lub wywozić pozostały sprzęt techniczny do innych fabryk i do SHL.

Kraj nadal był w ruinie, nie było prawie niczego, również inżynierów o różnych specjalnościach. Część ich wymordowali okupanci, inni pozostali w krajach zachodniej Europy w obawie, że w Polsce stracą życie za swój udział w podziemnych walkach z najeźdźcą – jako „wrogowie ludu”. W tej sytuacji przyjmowano do pracy część przedwojennej inteligencji jako przydatnej w budowie nowego, demokratycznego państwa. Dlatego też w mieszczącym się na I piętrze Zjednoczenia pracowali różni specjaliści. Poznałam tam m.in. mgr Aleksandrę Dobrowolską – autorkę przedwojennego hymnu lotników. W Anglii była też matką chrzestną sztandaru lotników Dywizjonu 303 i 305. Była ona później organizatorką kilku muzeów w województwie kieleckim.

Pamiętam hrabiego Zybera-Platera, który przychodził do biura w jedynym zachowanym ubraniu, złożonym z koszuli koronkowej z falbankami i jakimś fraku czy surducie. Miał kilkoro dzieci, zmagał się z codziennym ubóstwem. W tym Zjednoczeniu pracowała moja mama, pani Maria Borkowska, chyba inż. Stobiecki. Innych nazwisk nie pamiętam, ale zapewne zachowały się ich dokumenty w archiwum fabryki SHL. Dyrekcja i Rada Pracownicza potrafiły chronić tych ludzi – jako pracowników niezbędnych dla odbudowy kraju.

Po 1948 r. (?) Zjednoczenie zostało przeniesione z Kielc, lub rozwiązane. Część personelu znalazła zatrudnienie w innych zakładach pracy, lub powróciła do fabryki SHL.

Dalsze dzieje tej fabryki SHL i ludzi z nią związanych też wymagają utrwalenia ich w pamięci Kielc – miasta, dla którego pracowali i w którym mieszkali oni i ich rodziny.

Amelia Dziubińska



specjalista pediatrii i org. ochr. Zdrowia. Mój życiorys czyli jednej istoty z siedmiu miliardów zamieszkujących planetę Ziemię. Jako osoba sędziwa napisałam w swoim życiu wiele życiorysów. Jak większość życiorysów – były one niezbędne dla moich zakładów pracy, ale niestety wszystkie nudne, pozbawione polotu, najczęściej nie czytane przez pracodawców, lub wywołujące senność. Te faktycznie porywające życiorysy dotyczą tylko ludzi sławnych, intelektualistów, wynalazców, wojennych bohaterów itp. Szczególnie chętnie są czytane kiedy właściciel takowego życiorysu już więcej nie napisze – bo już nie żyje!

Ponieważ chwilowo jeszcze żyję – postaram się wyjawić prawdy, które skłoniły mnie do napisania o sobie – wbrew dawnemu przysłowiu że: „nic nie plami honoru kobiety tak, jak atrament”. Teraz zapewne jest to wpis w Internecie!

Od dziecka interesowały mnie książki historyczne, biografie, wspomnienia, pamiętniki, genealogie rodów. Dlatego też chętnie słucham wykładów obejmujących te tematy. Jestem pełna podziwu dla osób, które wkładają ogrom pracy w wyszukiwanie przodków, śledzenie ich losów, kreślenia drzewa genealogicznego. Jest to piękna fascynacja faktami z życiorysów pojedynczych osób lub całych rodów związanych z historią ich małej lub dużej ojczyzny.

Żmudne zdobywanie tej tajemnej wiedzy o przeszłości naszej, lub innej rodziny pozwala nam lepiej zrozumieć siebie. Bo życie człowieka jest niełatwe: czasem dobre, czasem ciężkie, ale zawsze jedyne i niepowtarzalne.

Moi przodkowie w linii męskiej byli odlewnikami – pracowali w tym zawodzie co najmniej od trzech pokoleń. Przywędrowali z Karpat na Ziemię Świętokrzyską, bo tutaj mogli pracować w licznych odlewniach i fabrykach zakładanych przez Stanisława Staszica i innych świątłych Polaków. Tak więc moi przodkowie i mój ojciec spędzili swoje życie na kieleckiej ziemi.

Urodziłam się w Stąporkowie „w ubiegłym wieku” – jak piszą o sobie słynne kobiety, aby uniknąć prawdziwej daty urodzenia! Ale ten manewr nie działa odmładzająco, podobnie jak inne: cudowne kosmetyki czy wyszukane diety!

Rodzice przenieśli się do Kielc kiedy miałam dwa lata. Tato był odlewnikiem i pracował w Hucie Ludwików. Moje wczesne dzieciństwo i wiek szkolny przypadły na okres hitlerowskiej niewoli. Tak więc nie wstydzę się przyznać do faktu, że do szkoły chodziłam sporadycznie, gdyż Niemcy ciągle zamykali szkołę lub nas z niej wyrzucali. Mój jedyny dokument to znaczy świadectwo szkolne dostałam po ukończeniu VI klasy, już po wyzwoleniu Kielc. Potem było Gimnazjum im. Bł. Kingi ze wspomniałą kadrą pedagogów. Następnie Liceum im. Jana Śniadeckiego i matura. No i marzenie, że ukończę studia na Wydziale Leśnictwa i kiedyś dołączę do grona znakomitych badaczy przyrody, geologii i dziejów Świętokrzyskiej Ziemi. Na ziemię sprowadził mnie kurator z Wojewódzkiego Wydziału Oświaty, kiedy w klasie maturalnej zachęcał nas do dalszej nauki. Zapytany przeze mnie gdzie potem mogę znaleźć tą wymarzoną twórczą pracę (po studiach) odpowiedział: „w tartaku lub na kolei”. Zapytałam „jak to – po leśnictwie”? Odrzekł: „przecież trzeba dobierać właściwe podkłady z drzewa pod tory kolejowe.” Marzenia prysły! A że od dziecka kocham dzieci – wybrałam medycynę i pediatrię na Akademii Medycznej w Warszawie. Potem bardzo żmudne i ciężkie studia w ocalałych od zagłady ruinach uczelni. Równoległe ze studiami ogólnymi od trzeciego roku robiliśmy specjalizację z trzech kierunków: interny, pediatrii, albo wydziału sanitarno-epidemiologicznego.

W Polsce po 1945 roku lekarzy było jak na lekarstwo, ogromna umieralność dzieci, epidemie ciężkich chorób zakaźnych, brak właściwego odżywiania. Nie było sprzętu medycznego, antybiotyków, szpitali. Brakowało wszystkiego, poza zapałem do nauki. Moje pokolenie dzieci robotników i chłopów wiedziało, że tylko zdobyta wiedza pozwoli im poprawić jakość życia. Nikt nie narzekał na nieustanne zmagania się z rzeczywistością.

Reszta mojego życiorysu to podjęcie pracy w Kielcach w ukochanej specjalności. zdobycie II stopnia z pediatrii, medycyny społecznej I stopnia, oraz II stopnia z Organizacji Ochrony Zdrowia. I praca, praca, praca – w jednostkach służby zdrowia, w Szpitaliku Dziecięcym, na wiecznych nocnych dyżurach w Pogotowiu Ratunkowym, również w Domach Pomocy Społecznej na terenie powiatu (dojazdy na „łebka”). Jednym słowem „normalka”, a specjalizacja z pediatrii była marnie opłacana, bo „małe dzieci to i pensje małe”.

To wszystko wynagradzali mali pacjenci – czasem uśmiechem, czasem wrzaskiem, ale dzieci są zawsze spontaniczne i nie symulują!

Moja córka ukończyła biologię na Uniwersytecie Warszawskim, a nie medycynę, bo widziała jaki to ciężki i odpowiedzialny zawód.

Kończąc moje dygresje – jestem od lat na emeryturze, ale uważam że życzenie starszkom „zasłużonego” wypoczynku jest perfidnym pocieszeniem, że im jest „tak dobrze, bo nie pracują”. Zawsze powtarzam swoim znajomym: nigdy nie bądźcie emerytami, bo to psychiczne tortury, a nie radość o zmierzchu (życia).

Mam nadzieję, że procent nudy w moim życiorysie jest mniejszy od przeciętnej normy.

